

NOTATKI nieobiektywne

Nie wiem, jak zrodził się obyczaj, by w tak zwanym „przełomowym” numerze „Gazety”, czyli tym, który ukazuje się na przełomie Starego i Nowego Roku, zamieszczać coś w rodzaju „rozmyślań przy goleniu o tym, co wydarzyło się w poznańskiej kulturze w ciągu minionych dwunastu miesięcy. Naturalnie — goł się człowiek indywidualnie, stąd i to, co piszę jest absolutnie osobiste i całkowicie subiektywne, więc niekoniecznie sprawiedliwe w każdym szczególe.

Przyznam, że nie wiem, czy mam się radować czy smuć (jako żem człek zgryźliwy) z faktu, że w Roku Pańskim 1987 mało jakoś znalazłem powodów do wyrzekań, przyczepienia się, jako też dokuwania. Przeciwnie, mieliśmy kilka co najmniej rzeczy dobrych i bardzo dobrych. Więc może od nich właśnie zacząć.

Mieliśmy, to znaczy melomani mieli, okazję usłyszeć jednego z najwybitniejszych skrzypków Europy i świata — Jehudi Menuhina, a grono smakoszy poznać przyrządzony dla nich deňkates — „Śmierć w Wenecji” Benjamina Brittena według Tomasza Manna. Oble imprezy były czysto elitarne, więc żal, że uleciały jak sen złoty. Z tym że może ktoś gdzieś znajdzie płytę z nagraniem Menuhina. Bo „Śmierć w Wenecji” nie zachowała się nawet na video (są ponoć takie teatry, które wszystkie swoje spektakle nagrywają dla dokumentacji!). I cały trud inscenizatorów i wykonawców właściwie przepadł.

Jak zwykle, jak co roku, szumnie zapowiedziano „KONFRONTACJE FILMOWE”, które z sensownego kiedyś Festiwalu Festiwalu Filmowych, a więc przeglądu najciekawszych laureatów międzynarodowych festiwalu, zamieniły się w zmasowany, przedpremierowy przegląd właśnie ukończonych filmów polskich i najnowszych zakupów. To nie

byłoby może nawet najgorsze, gdyby nie urzędnicza miarka proporcji, według której dobierano filmy zgodnie z krajem pochodzenia. W rezultacie widzowie żądni obejrzenia — na przykład — „Tematu”, „Pożegnania z Afryką” czy „Misji” a także „Magnata” musieli kupić bilety na „Wsi moja, sielska, anielska”, arcynudnego „Gonę wojownika” czy „Dom nad rzeką”. No ale może rok 1988 przyniesie jakąś zmianę na lepsze.

Teatr na Piętrze umocnił się jako potrzebna Poznańowi, co raz bardziej popularna scena impresaryjna. Prawda, nie wszystkie spektakle były hitami: takie „Pokojówki” Geneta może kiedyś były atrakcyjną sensacją, dziś szeleściły papierem i jedynie gra wybornych aktorek — Zukowskiej, Dalkowskiej i Budzisz-Krzyżanowskiej była w stanie skupić uwagę widzów. Nieswietni byli także fredrowscy „Maż i żona” (eksportowa — bo rzecz szła potem dla Polonii w USA), bo nie najszcześliwiej obsadzeni. No ale znowu magia nazwisk Senniuk, Dymna, Kopiczyński, Kondrat zapełniła widownię po brzegi. I powiem herezję: stanowczo wolałbym zobaczyć Jana Świderskiego w innej niż „Niespodzianka” sztuce...

Po długich i ciężkich cierpieniach, plotkach i hłobowych wieściach TEYATR wystawił jednak zakończenie edukacyjnego tryp-

tyku — po „Przedszkolu” i nieudanej „Szkołe” — „Uniwersytet”. Powtórzę com napisał w recenzji: Zenek Laskowik jest wspaniałym autorem, reżyserem i aktorem, ale sam — żeby nie wiem jak się starał — nie da rady. A TEYATR nie ma aktorów

Poznańskie teatry natomiast, te najprawdziwsze, najbardziej reprezentatywne, uraczyły nas trzema premierami — wydarzeniami. Tak więc w Teatrze Nowym „erę Wiśniewskiego” zamknęło „Wesele” w reżyserii J. Nyczaka. Zgodnie z obyczajem, który wręcz za nietakt uważa granie „po wyspiańsku”, reżyser pozbawił ów arcydramat narodowy jego magii, rozmył, zobojętnił. I nie wiem co mniej mi się podobało — bezbarwne „Wesele” Nyczaka czy nieuznane wrzaskliwy kabaret Hanuszkiewiczza w TV? Pewnie ani jedno, ani drugie...

Grzegorz Mrówczyński natomiast po osiągnięciu jakim była „Nieboska komedia” sięgnął po „Dziady”. Stworzył spektakl godny zapamiętania, spektakl, który dał szansę i odkrył ciekawe talenty (Mariusz Sabiniewicz) Szkoda, że zabrakło inscenizatorskiego wykończenia, że obejrzelśmy spektakl z wyraźnie osłabionym finałem. I po raz pierwszy nie okłaskiwałem scenografii. Pomyślana zbyt chyba „uniwersalnie”, dziwiła niefunkcjonalnością.

Najwięcej wszelako rozgłosu doświadczyła polska prapremiera „Czarnej maski” Krzysztofa Pendereckiego. Niewątpliwy to zaszczyt a i uznanie dla Teatru Wielkiego w Poznaniu, że Maestro Jemru właśnie powierzył swe dzieło. Zjechało na premierę pół Warszawy, co znacznie z Telewizji, impresariowie, krytycy i snobi. Były owacje wielominutowe, reflektory nagrywającego telewizyjne wywiady Bogusława Kaczyńskiego, fumi i trochę zamieszania. Niewątpliwie wybitne współczesne dzieło niemal zagłaskano, przesadzając bez umiaru w zachwytach chyba nie zawsze przemysłanych. Mistrz był słońcem, wokół którego krążyło; zadyrgował „Requiem polskim”, które wypadło przed niedawnym czasem z repertuaru Poznańskiej Wiosny Muzycznej i — zażądał o swój ekscentryczny „image”. W każdym razie wydarzenie było nieprzeciętne i tylko wypada życzyć dyr. Dondajewskiemu, który zebrał zasłużone gratulacje, by „Czarna maska” przygotowana przezornie w niemieckiej wersji językowej trafiła jako eksportowy towar na europejskie sceny.

Krótko przed Świętami zaprosił na premierę Teatr Muzyczny. Wystawiono „Błękitny zamek” musical Romana Czubatego według Lucy M. Montgomery. Po nieporozumieniu, jakim był „Rinaldo in Campo” Modugno (rzucmy nań kurtynę zapomnienia) otrzymałmy rzecz pogodną, ciepłą, ogromnie sympatyczną i bezpretensjonalną. Ten staroświecki, poczyty melodramacik to typowy spektakl rodzinny — można i warto wybrać się nań z dziećmi a nawet dziadkami.

Ale uwaga — Teatr Nowy przygotowuje na Sylwestra premierę „Decadance” Jerzego Satanowskiego. Ciekawość, co to będzie?



Dorota Kwiatkowska wznosi noworoczny toast na pomyślność w 1988 roku.